

Jerzy Eisler

POLSKIE MIESIĄCE

Jak wiadomo, kryzysy polityczne i wybuchy protestów społecznych w PRL utarło się określać nazwami miesięcy (obowiązkowo – wbrew zasadom ortografii polskiej – pisanymi dużą literą), w których dane wydarzenia miały miejsce. A więc, polskie miesiące, ów specyficzny kalendarz: Czerwiec, Październik, Marzec, Grudzień, znowu Czerwiec, Sierpień i jeszcze jeden Grudzień – jakże trudno przecenić ich rolę w powojennej historii Polski! Wszystkie one wyznaczają ważne momenty historyczne – zawsze dramatyczne, a często i krwawe. Określenia te należą wszakże do swoistej magii języka politycznego, gdyż raczej zamazują niż cokolwiek wyjaśniają i w żadnym razie nawet nie próbują charakteryzować skrywanych za nimi wydarzeń. Zastanawiać więc może fakt, że przez długie lata równie często tych samych wyrażen używano w ezopowym języku oficjalnej propagandy, co w mowie potocznej. Złośliwi żartowali nawet gorzko, że jeśli PRL potrwa jeszcze ze dwadzieścia–trzydzieści lat, to w wyniku kolejnych wstrząsów polityczno-społecznych w kalendarzu polskim może po prostu zabraknąć miesięcy.

Niezależnie jednak od wszelkich wątpliwości, jakie może wywoływać posługiwanie się nazwami polskich miesięcy, warto chyba zastanowić się nad ich cechami wspólnymi, jak i tym, co je różniło między sobą. Na wstępie należy stwierdzić, że za każdym razem nazwy te mają charakter w mniejszym czy większym stopniu umowny. W praktyce bowiem zawsze pośrednie i bezpośrednie przyczyny oraz konsekwencje poszczególnych wydarzeń kryzysowych wykraczały poza miesiąc, z nazwą którego zwykliśmy je kojarzyć. Gdy więc mówimy Sierpień, to myślimy nie tylko (choć na pewno przede wszystkim) o strajkach na Wybrzeżu, ale także o powstaniu NSZZ „Solidarność”, co – jak wiadomo – oficjalnie nastąpiło we wrześniu 1980 r. Niektórzy badacze nie bez pewnej racji pod tym pojęciem umieszczają także wcześniejsze strajki lipcowe na Lubelszczyźnie. Podobnie pod pojęciem Marzec kryje się m.in. zarówno wcześniejsza sprawa „Dzia-

dów” oraz lutowe zebranie Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, jak i dramatyczne kwietniowe posiedzenie Sejmu, w trakcie którego przywódcy partyjni i nie tylko oni (*vide*: Bolesław Piasecki) brutalnie atakowali posłów katolickich z Koła „Znak”.

Nadawanie kryzysom polityczno-społecznym nazw miesięcy ma charakter umowny z co najmniej jeszcze jednego powodu. Otóż często pod jednym określeniem skrywano wydarzenia powiązane ze sobą w sposób dość luźny, a niekiedy wręcz przeciwstawne sobie. Cóż bowiem w istocie łączyło wolnościowe protesty studentów i części intelektualistów z antysemicką i antyinteligentką nagonką z Marca 1968 r.? A co miał wspólnego wielki społeczny ruch reformatorski z Października 1956 r. z walkami frakcyjnymi w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, rozgrywającymi się w tym samym czasie za kulisami? A co łączyło wielki robotniczy protest społeczny z Grudnia 1970 r. z noszącą wszelkie znamiona „puczu w Komitecie Centralnym” tajną rozgrywką w kierownictwie PZPR? Przykłady można by długo mnożyć. Wydaje się nawet, że właśnie owa złożoność i wielonurtowość była jedną z głównych cech niektórych z polskich miesięcy. W praktyce bodaj tylko oba Czerwce – ten poznański z 1956 r. i ten o dwadzieścia lat późniejszy radomsko-ursuski – wyłamują się z tego schematu, choć i w tych przypadkach nie brakowało takich, którzy dopatrywali się w nich czegoś więcej niż tylko wielkiego protestu społecznego. I tak np. Jerzy Putrament w 1981 r., zabierając głos na XI Plenum KC PZPR na temat Poznania, stwierdził autorytatywnie, że „tam była założona mina. W naszej partii walczyły wówczas dwie potężne frakcje, jedna podłożyła tę minę drugiej: jednocześnie zarządono podwyżkę norm, ograniczenie godzin nadliczbowych i podjęto jeszcze jakieś decyzje. W sumie doprowadziło to do wybuchu”¹.

Wiara w spiskową moc sprawczą masowych wystąpień społecznych okazała się zresztą trwalsza niż sama PRL. Wielokrotnie dawali jej wyraz w swoich książkach wspomnieniowych byli działacze partyjni. Dla Edwarda Gierka największa w dziejach Polski fala strajków z lata 1980 r. nie była konsekwencją społecznego niezadowolenia wywołanego katastrofą gospodarczą kraju, której towarzyszyła irytująca „propaganda sukcesu”, ale jakiś działań prowokacyjnych, o które jeszcze po latach był skłonny oskarżać swoich niektórych towarzyszy z najwyższego kierownictwa PZPR. W sposób jeszcze bardziej kategoryczny pogląd ten sformułował Piotr Jaroszewicz: „Aby pozbyć się Babiucha i Gierka, zorganizowano tak zwane zajścia lipcowe w Lublinie”².

Trudno też zapomnieć, że ilekroć w PRL dochodziło do strajków i społecznych wystąpień, to „na gorąco” władze zawsze o ich inspirowanie i organizowanie oskarżały jakieś obce siły: „reakcję”, „dywersyjne ośrodki”, „zachodnionie-

¹ Cyt. za: J. Eisler, R. Kupiecki, *Na zakręcie historii – rok 1956*, Warszawa 1992, s. 35–36.

² B. Roliński, *Piotr Jaroszewicz: przerwywam milczenie... 1939–1989*, Warszawa 1991, s. 251.

mieckich rewizjonistów”, „amerykańskich imperialistów”, „syjonistów” i innych wrogów Polski Ludowej. Z reguły były również skłonne demonstracje uliczne i starcia z siłami represji, jak na ironię nazywanymi siłami porządkowymi, uznawać za „kontrrewolucję”, zaś uczestników tychże wystąpień za „chuliganów”, „bandytów”, „elementy przestępcze i kryminalne”, „wichrzycieli”, „warchołów” itd. Zdumiewająca i wręcz obraźliwa dla zdrowego rozsądku była wiara w to, że działalność jakiś mitycznych „prowokatorów i inspiratorów” byłaby w stanie wyprowadzić na ulice polskich miast lub zamknąć w wielkich zakładach przemysłowych po uprzednim proklamowaniu strajku okupacyjnego dziesiątki tysięcy osób, gdyby nie rzeczywiste polityczne i ekonomiczne przyczyny niezadowolenia społecznego.

W tym miejscu koniecznie trzeba dodać, że te tendencyjne i daleko niesprawiedliwe dla protestujących oceny były weryfikowane w niedługim czasie, jeśli oczywiście w wyniku protestów społecznych dochodziło do zmiany kierownictwa partyjno-państwowego. W 1956 r. dokonało się to w niespełna cztery miesiące po robotniczym powstaniu w Poznaniu, kiedy to w wyniku przesilenia październikowego Władysław Gomułka w dramatycznych okolicznościach zastąpił na stanowisku pierwszego sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba. Wtedy też Gomułka przyznał publicznie, że winę za tragedię poznańską ponosili nie upominający się o swoje słuszne prawa robotnicy, lecz przedstawiciele władzy, którzy nie potrafili wyjść naprzeciw postulatom robotniczym.

Podobnie było w 1970 r., kiedy to po odsunięciu od władzy Gomułka, Edward Gierk przyznał rację strajkującym stoczniovcem. Co więcej, po kolejnej fali strajków ze stycznia i lutego 1971 r. zdecydował się na cofnięcie podwyżki cen, która była bezpośrednią przyczyną wystąpień robotniczych. Nie inaczej wyglądała sytuacja w 1980 r., kiedy to nowy pierwszy sekretarz KC PZPR Stanisław Kania uznał strajki na Wybrzeżu i na Śląsku za „słuszny protest klasy robotniczej przeciwko wypaczeniom socjalizmu”. Za każdym też razem zmiany na najwyższych stanowiskach w partii i państwie łączyły się z proklamowaniem kolejne „odnowy” czy „nowej polityki”.

Odmienne wyglądała sytuacja w 1976 r. Wówczas w wyniku wystąpień robotniczych nie doszło do zmian w kierownictwie, choć premier Piotr Jaroszewicz – w odczuciu społecznym – główny odpowiedzialny za niefortunną podwyżkę cen, która stała się bezpośrednią przyczyną protestów robotniczych, zgłosił Gierkowi swoją rezygnację. Dymisja ta nie została jednak przyjęta. Skoro nie było „nowego kierownictwa”, nie było także weryfikacji skrajnie niesprawiedliwych ocen wystąpień robotniczych. Co więcej, w wielu miastach władze partyjne zorganizowały wiece poparcia dla Gierka i jego polityki. Jednocześnie na masówkach tych publicznie napiętnowano „warchołów” z Radomia i Ursusa. Uczestnicy protestów czerwcowych mogli więc mieć jedynie satysfakcję z tego, że władze wycofały się z przygotowywanej, a *de facto* już wprowadzonej podwyżki cen.

Jeszcze inaczej należy patrzeć na Marzec. Przede wszystkim pozostałe miesiące – może jeszcze z wyjątkiem Października – były zdominowane przez wystąpienia robotników, podczas gdy w Marcu mieliśmy do czynienia głównie z protestami inteligencji: studentów oraz przedstawicieli świata nauki, kultury i sztuki. Partia, która miała w swojej nazwie przymiotnik „robotnicza”, w ostateczności, po jakimś czasie była skłonna przyznać rację protestującym robotnikom, ale nie była skłonna tego uczynić w przypadku protestów intelektualistów i młodej inteligencji (studentów).

Na marginesie chciałbym zwrócić uwagę na pewien niezwykle żywoty stereotyp. Otóż w kultywowanej przez „Solidarność” tradycji wolnościowych zrywów społeczeństwa w latach PRL znalazło się pewne zafałszowanie. Przyjęto bowiem błędne założenie, że protesty 1968 r. to wyłącznie dzieło inteligencji. Jednocześnie postawę ówczesnych robotników wobec ruchu studenckiego określano, jeśli już nie jako wrogą, to w najlepszym razie bierną. Usiłowałem temu stereotypowi bez większego zresztą skutku przeciwstawić się w książce o Marcu, odwołując się do rozmaitych przekazów źródłowych i próbując zanalizować rzeczywiste postawy robotników wobec wystąpień studenckich oraz wykazać niejednorodność i zróżnicowanie tychże postaw.

Dopełnieniem tej fałszywej teorii była inna równie odległa od prawdy teza głosząca, że w grudniu 1970 r. protesty społeczne miały jednoznacznie robotniczy charakter. I znowu wbrew faktom utrzymywano, że tym razem inteligencja i może zwłaszcza studenci, sparaliżowani strachem po represjach z 1968 r., zachowali się biernie i nie poparli robotników. Stereotyp ten zyskał bodaj najbardziej wyrazistą egzemplifikację w filmie Andrzeja Wajdy *Człowiek z żelaza*, w którym znalazła się pamiętna scena pochodu robotniczego, któremu towarzyszyło zamykanie okien w akademiku. Andrzej Wajda jest artystą i wolno mu było wykreować taką nierzeczywistą rzeczywistość! Rzeczywistość realna wyglądała wszakże inaczej. Wśród 3161 osób, które w całym kraju zostały zatrzymane w trakcie zajść grudniowych było 34 studentów. Trudno w takiej sytuacji mówić o ich pasywnej postawie, zwłaszcza gdy przypomni się jeszcze studenta zabitego w Gdyni 17 grudnia 1970 r. Nasuwa się więc pytanie „w zupełnie starym stylu”, kto i z jakich powodów jest zainteresowany w podtrzymywaniu tych dalekich od prawdy stereotypów?

Gdy odwoływali się do nich (fakt, że rzadko) rządzący PRL, to można było przypuszczać, że chodziło im o starą zasadę „dziel i rządź”. Gdy jednak dziś do tych samych stereotypów odwołują się ludzie mądrzy i uczciwi, o wielkich zasługach dla sprawy wolności i demokracji w Polsce, to naprawdę nie wiem, czemu to przypisywać. Żeby zakończyć już tę dygresję, przypomnę jeszcze tylko, że w tym ujęciu protesty robotnicze z Czerwca 1976 r. otrzymały wsparcie ze strony inteligencji, co zaowocowało powstaniem Komitetu Obrony Robotników. W Sierpniu natomiast inteligencja niemal od razu włączyła się w nurt protestu ro-

botniczego. Wszelako ta konstrukcja myślowa pomija pewien „drobiazg” i aby pozostać w zgodzie z faktami historycznymi i zdrowym rozsądkiem powinniśmy całą tę kwestię za każdym razem wyraźnie nuansować: „część robotników”, „część studentów”, „część intelektualistów”. I na pewno warto też pamiętać, że nie zawsze słówko „część” winno oznaczać większość.

Wracając do Marca, należy stwierdzić, że jego cechą specyficzną w jakimś sensie było i to, że – podobnie jak później w Czerwcu – w praktyce nie doszło wówczas do zmian na najwyższych piętach władzy, a zmiany personalne na pozostałych szczeblach nie zostały wymuszone przez protesty studenckie, lecz były konsekwencją antysemickiej („antysyjonistycznej”) i antyinteligentkiej rozgrywki szczebla średniego i niższego. Na przykład ze składu Biura Politycznego odeszli wówczas jedynie Edward Ochab i Adam Rapacki – obaj notabene na własną prośbę, protestując w ten sposób przeciwko dokonującej się w kraju czystce antysemickiej.

Warto może jeszcze zwrócić uwagę na jedno podobieństwo Marca do Czerwca 1976 r. Otóż w obu przypadkach przywódca partii, których pozycja w wyniku protestów społecznych przynajmniej przejściowo uległa osłabieniu, odwołał się do tej samej metody poprawiania sobie samopoczucia. W wielu miastach – wbrew rzeczywistym nastrojom społecznym – zwołano wiece poparcia dla aktualnie urzędującego pierwszego sekretarza KC i jego linii politycznej. Na te organizowane zwykle w godzinach pracy masówki aktyw „zganiał” tysiące ludzi, których jedynym zadaniem było zapewnianie „wodza” o swoim bezgranicznym poparciu. Pod tym względem fideistycznie brzmiące hasła w Sali Kongresowej w Warszawie 19 marca 1968 r.: „Wierzymy w Ciebie, Wiesławie” czy „Kto za Polską, ten za Gomułką”, w praktyce niczym nie różniły się od owacji zgotowanej Gierkowi przez aktyw w „katowickim spodku” 2 lipca 1976 r. Wtedy po raz pierwszy to przemówienie pierwszego sekretarza aktywiści przerwali skandowaniem: „Gierek–Partia; Gierek–Partia”, by już po chwili wykrzykiwać „Gierek–Partia; Partia–Polska; Polska–Gierek”.

W żadnym razie nie można tych sztucznych i wymuszonych owacji – dla w praktyce już przegranych przywódców partyjnych – zestawiać ze spontanicznym „Sto lat” śpiewanym Gomułce przez nieprzebrane tłumy ludzi zgromadzonych 24 października 1956 r. na placu przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie. Wypada też zauważyć, że po 1980 r. pierwsi sekretarze nie pozwalali już sobie (nie mogli czy też nie chcieli?) na takie wybuchy „entuzjazmu przegranych”, a na prawdziwy entuzjazm mas – zwłaszcza po stanie wojennym – chyba już nie liczyli.

Jeśli analizuje się protesty społeczne w PRL, to z pewnością trzeba również zwrócić uwagę na ich podobieństwo. Otóż po uważnym przypatrzeniu się przebiegowi demonstracji 28 czerwca 1956 r. w Poznaniu, 14 grudnia 1970 r. w Gdańsku i 25 czerwca 1976 r. w Radomiu trudno nie dostrzec, że miały one bardzo

podobny przebieg. Za każdym razem protest miał początkowo charakter wyrażnie ekonomiczny i za każdym też razem z czasem pojawiały się hasła jednoznacznie polityczne. We wszystkich tych trzech przypadkach pochody robotnicze (w tej fazie konfliktu zawsze pokojowe) kierowały się pod gmachy Komitetów Wojewódzkich PZPR. Robotnicy trafnie uznawali, że tam właśnie, a nie w siedzibach lokalnych władz administracyjnych znajdowały się rzeczywiste ośrodki decyzyjne. Za każdym też razem dochodziło do prób niszczenia, plądrowania, a w końcu podpalenia (w Gdańsku i Radomiu, a także 17 grudnia 1970 r. w Szczecinie) siedziby wojewódzkich władz partyjnych. Trzeba także wyraźnie dopowiedzieć, że za każdym razem spokojnie zachowujące się manifestacje protestacyjne, ograniczające się do wznoszenia haseł z razu – jak powiedziano – o treści wyłącznie ekonomicznej i śpiewania pieśni patriotycznych i religijnych, były z niezwykłą brutalnością atakowane przez milicję, co natychmiast wpływało na obustronną eskalację agresji. Zwykle też środki użyte przez władze do tłumienia protestów były niewspółmierne do ich charakteru i zakresu. Pod tym względem nie inaczej było w Marcu, kiedy to pierwszy spokojny wiec studencki na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego został w praktyce rozgromiony pałkami przez milicjantów i funkcjonariuszy Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej.

Wspólną cechą prawie wszystkich polskich miesięcy było to, że przedstawiciele społeczeństwa protestowali przeciwko jakimś posunięciom władz partyjno-państwowych, te zaś sięgały po wszelkie dostępne im środki, aby te protesty zdusić siłą. Za każdym razem, choć niezbyt zasadnie, reprezentanci władzy mogli czuć się zaskoczeni buntami społecznymi. Za każdym też razem, to kontestujące odłamy społeczeństwa rozpoczynały kolejną „rundę walki” z dyktatorską, niedemokratyczną władzą, choć trzeba tu być bardzo ostrożnym przy formułowaniu wniosków uogólniających i nie wolno z góry odrzucać takich trudnych do udowodnienia czynników, jak np. element prowokacji policyjnej. Wszelako raz (13 grudnia 1981 r.) zdarzyło się, że to reprezentanci władzy zaskoczyli, ba zaatakowali społeczeństwo. Gdyby wówczas „Solidarność” w skali całego kraju podjęła taki opór, jak górnicy z Kopalni „Wujek” i gdyby w takiej sytuacji doszło w Polsce do wybuchu wojny domowej (a wykluczyć tego nie było można!), to gen. Wojciech Jaruzelski przeszedłby do historii jako ten, który ją rozpoczął. Jego historyczną zasługą położoną na polu semantyki jest natomiast to, że swojej akcji nadał miano stanu wojennego. Gdyby tak nie postąpił, najprawdopodobniej strzelanie do robotników, wyprowadzenie na ulice miast setek czołgów i transporterów opancerzonych, bicie ludzi pałkami i polewanie ich na mrozie wodą nazywalibyśmy znowu „wydarzeniami” względnie „wypadkami grudniowymi”, jak te tragiczne z 1970 r. A tak, nikt praktycznie na określenie najtragiczniejszej fazy stanu wojennego nie mówi Grudzień. I na koniec rodzi się przewrotne pytanie, czy upadek PRL istotnie położył kres tradycji polskich miesięcy?